

Sokołowski, Michał

Wspomnienie o księdzu kanoniku Władysławie Mąkowskim

Notatki Płockie 50/1-202, 52-53

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

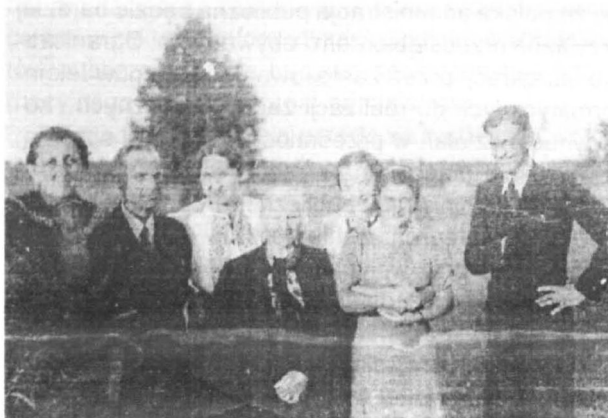
WSPOMNIENIE O KSIĘDZU KANONIKU WŁADYSŁAWIE MĄKOWSKIM

W początkach okupacji, w roku 1940, mieszkaliśmy jeszcze w leśniczówce w Korzeniu koło Łącka, gdzie Ojciec mój, Alojzy Sokołowski od roku 1920 zajmował stanowisko leśniczego w lasach państwowych. Leśniczówka - duży drewniany dom wybudowany w początkach XIX wieku położona była na brzegu lasu, przy drodze - wówczas polnej - wiodącej z Łącka do Szczawina. Miejsce było uroczne, spokojne i znajdujące się na uboczu. Do najbliższych miasteczek: Gąbina było 7 km, a do Goścynina - 11. Około 1 km od nas oddalona była wieś Korzeń Królewski (bo był jeszcze „Rządowy”). Tam, z dużym wkładem inicjatywy i starań ze strony mego Ojca, w roku, bodaj 1928 powstała nowa parafia, a na kościółek przeznaczono naprędce przystosowany murowany budynek po spichrzu powstały w latach gdy grunty wsi Korzeń należały do majątku jakiegoś ziemianina. Do tego czasu Korzeń należał do parafii w Gąbinie, gdzie zostałem w roku 1926 ochrzczony.

Rodzice moi od samego początku istnienia parafii przyjaźnili się z kolejnymi proboszczami. Pierwszym był ks. Paweł Kwiatkowski - późniejszy proboszcz w Soczewce koło Płocka - rozstrzelany przez Niemców przed swą plebanią w pierwszych dniach wojny. Następnym był ks. Batko, później ks. Eugeniusz Wiśniewski - zamordowany w obozie w Dachau. Wybuch wojny zastał na parafii w Korzeniu ks. Antoniego Rogowskiego (przeżył Dachau i po wojnie był proboszczem w Gozdowie).

Latем 1940 roku ks. Rogowski został wywieziony do Dachau, a obowiązki proboszcza pełnił przez krótki czas ks. Nieporęcki, który schronił się tu po ucieczce ze Strzyna koło Rypina. W tym to czasie (lato 1940 roku) wszędzie mnożyły się aresztowania wśród duchowieństwa. Księża szukali schronienia w spokojnych, na uboczu położonych miejscowościach.

Do Korzenia przybył z Płocka Ksiądz Władysław Mąkowski, rektor Biblioteki Diecezjalnej. Pobył na plebanii nie zapewniał bezpieczeństwa, zwrócił się więc do moich rodziców o danie Mu możliwości czasowego azylu w leśniczówce. Sprowadził się wkrótce z przysłowiowym węzełkiem i zamieszkał w jednym z pokojów na pięterku. Wówczas to poznałem tego wybitnego człowieka,



Lato 1940. Rodzina i przyjaciele domu Sokolowskich.
Ks. Mąkowski - drugi z lewej, autor - pierwszy z prawej

a znajomość miała dość specyficzny charakter. Ksiądz nie znosił bezczynności, a ponieważ ja miałem wtedy 16 lat i nigdzie się nie uczyłem - powziął szlachetny zamiar zadbać o moją edukację. Codziennie przez parę godzin męczył mnie nauką języków: łacińskiego, rosyjskiego i niemieckiego. A mnie w głowie były zupełnie inne sprawy. Jak to chłopak - chciałem korzystać z wymuszonej wojną swobody i obserwować świat, w którym się działo tyle tragicznych, ale też ciekawych rzeczy. Wykręcałem się więc jak mogłem, a Kanonik załamywał ręce nad moją „ansą” do zdobywania wiedzy. Nękanie przez czcigodnego Mentora poznałem alfabet i nieco słówek rosyjskich, wiele tajników gramatyki i cytatów łacińskich, no i szlifowałem niemiecki, którego podstawy poznałem w płockiej Jagiellonce.

Mieliśmy w zwyczaju codziennie wieczorem zbierać się „całym domem” w pokoju jadalnym i trochę posiedzieć z sobą, pogadać o sytuacji w świecie i wydarzeniach minionego dnia. Ksiądz oczywiście zawsze uczestniczył w tych rozmowach. Opowiadał o swym bogatym w wydarzenia życiu, a że posiadał głęboką wiedzę i rzadko spotykany dar narracji, słuchaliśmy Go wszyscy z największym zainteresowaniem. Były to niezapomniane wieczory, podczas których łagodniała okrutna rzeczywistość wojny i niewoli. Wracaliśmy do tak niedawnych przecież chwil pokojowego życia, rozpamiętywaliśmy wydarzenia pogodne, przyjazne światu i ludziom.



Rok 1940. Leśniczówka w Korzeniu

Pewnego wrześniowego wieczoru do leśniczówki zjechał niespodziewanie niemiecki nadleśniczy z Łącka. Była już szarówka, a Niemiec ów - nie mogąc się dopukać do drzwi kancelaryjnych - wszedł przez kuchnię do pokoju, gdzie wszyscy domownicy - jak co dzień - siedzieli przy wieczornej pogawędce. Ksiądz Mąkowski spłoszył się tym niespodziewanym spotkaniem z umundurowanym Niemcem i nie potrafił opanować swego zdenerwowania. Zresztą wszyscy byliśmy zaskoczeni. Niemiec krótko zapytał: Kto to jest? Moja Mama odpowiedziała, że to wujek (Onkel), który przyjechał nas odwiedzić. Na tym incydent się zakończył - nadleśniczy załatwił z Ojcem sprawę, z jaką przybył i odjechał.

Nazajutrz przed południem przyjechało do nas na rowerach dwóch żandarmów z Łącka: komendant posterunku i służący w policji miejscowy młody „Volksdeutsch”. Zapytali, czy jest u nas ktoś obcy. Mama zaprzeczyła (Ojciec był w tym czasie w pracy w lesie). Wtedy młody żandarm ruszył na przeszukanie domu i odkrył na strychu schowanego tam Księdza Mąkowskiego - wywłókł go na korytarz i bił pięściami po twarzy i głowie na naszych oczach. Zaprzestał dopiero wtedy, gdy drugi z żandarmów dał mu komendę „Genug” (dosyć!). Ksiądz wyglądał strasznie - miał zmasakrowaną twarz. Rozpoczęło się przesłuchanie; zaskoczyło

ono oprawców zarówno świętą niemczyzną, jaką posługiwał się Ksiądz, jak i faktem, że ofiara pobicia okazała się duchownym. Zrobiło to wrażenie zwłaszcza na tym wychowanym w Polsce i wśród Polaków młodym żandarmie. Wydawało mi się, że Niemiec ów jakby się zawstydział swego czynu.

Pojechałem na rowerze po Ojca do lasu, a Mama w międzyczasie szybko przygotowała dla obu katów posiłek, aby w ten najprostszy sposób jakoś ich udobruchać i uchronić wszystkich przed spodziewanymi dalszymi represjami. Zamiar się powiódł i obydwaj Niemcy odjechali zadowoleni, najedzeni i z jakimś jeszcze prowiąntem „na drogę”.

Ksiądz Mąkowski jeszcze tegoż dnia opuścił nasz dom. Znaleźliśmy mu kwatery u rolnika w sąsiedniej wsi. Po kilku dniach Ojciec mój zorganizował przeprowadzenie Kanonika przez „zieloną granicę” do tzw. „Generalnej Guberni”. Granica przebiegała niedaleko za Gąbinem - od nas nie było dalej, niż 15 km, a odbywał się na niej ruch przemytniczy i z zachowaniem wielu ostrożności można było przemycić też człowieka.

Przez długi czas nie mieliśmy wiadomości o dalszych losach Księdza. Naszą rodzinę wkrótce po opisanych wydarzeniach wysiedlono z Korzenia. Pozostałe lata okupacji przeżyliśmy w Duninowie nad Wisłą i tam dotarła do nas niesprawdzona wieść, że Ksiądz Mąkowski nie przeżył wojny, zmarł gdzieś pod Warszawą.

A mnie pozostała w pamięci postać tego przeznaczonego człowieka. Jego twarz o szlachetnych rysach i dobrym, mądrym spojrzeniu. Pamiętam również tę twarz zmienioną torturami i wyraz cierpienia w oczach.

Pozostały mi też w pamięci niektóre wiersze łacińskie poznane podczas nauki z Księdzem oraz ulubione przez Niego westchnienie: „O jerrum, jerrum, qualis mutatio rerum!”. I ja to niekiedy powtarzam, wówczas staje mi przed oczami postać Kanonika i spędzone z Nim godziny.

Michał Sokołowski